

Godzina święta

Pewnej wakacyjnej niedzieli, całą „piątką na piątkę” – jak o nich czasem z przekąsem wtedy mówiono – Luluch, Olo, Geno, Rychu i Żozo spotkali się w sadzie otaczającym dom Gena i skryci za krzakami żywopłotu obserwowali ganek domu. Najpierw z domu wyszli dziadek z babcią, potem ojciec z matką, porozglądali się wkoło, o coś przez chwilę się sprzeczali, najpierw jedna para, potem druga, i zgodnie poszli drogą w kierunku kościoła. Kobiety drobnym truchtem, mężczyźni grubym krokiem, każde z nich kołysząc się w swoim rytmie, zniknęli za wzgórzem. Na horyzoncie, w nieruchomej mgielce i wśród lekko kołyszących się chmur, została tylko wpatrzona w niebo wieża kościoła.

Gdy dom opuścili wszyscy dorośli, chłopcy wyprowadzili ze stajni konie. Klepali je łagodnie po karkach i plecach, śmiejąc się, zagadywali. Podprowadzili do wozu. Ustawili konie po obydwu stronach dyszla. Klacz Karą z prawej strony, Orlika z lewej.

– Potrzyмай, Żozo, lejce, a wy chodźcie ze mną do szajerka.

Po chwili Luluch i Geno dźwigali w kierunku wozu wyciągniętą z szopy drewnianą skrzynię, a Olo i Rychu nieśli wielki kłęb szarozielonkawej sieci. Wrzucili sieć do skrzyni i załadowali z tyłu na wóz. Geno wziął lejce i lekko wskoczył na pojazd. Za nim Luluch i Żozo. Olo i Rychu otworzyli dwuramienną bramę.

– Wio!

Konie ruszyły lekko, jakby radośnie wyjeżdżając z podwórza. Gdy wóz wyjechał za ogrodzenie, Olo i Rychu zamknęli bramę i w biegu wskoczyli na tył pojazdu.

Chłopcy czuli radosne dreszcze na myśl o czekającej ich przygodzie. Jechali polami wśród złocących się w słońcu pagórków. Im bliżej było do wijącej się pośród morenowych wzgórz rzeczki Bachy, wyboje i koleiny na drodze były coraz głębsze, a skrzypienie i kołysanie wozu coraz większe. Czuli, jakby znajdowali się coraz bardziej pod tajemniczym wpływem widocznej na horyzoncie góry, zwanej Szlosbergiem. W wiekach średnich stał tam zamek krzyżacki, a o jego skarbach krążyły legendy. Wpatrzeni w srebrzącą się

połyskliwie rzeczkę, ulegali magii miejsca i rozkołysani nadzieją na wielki połów, wsłuchiwali się w parskanie koni, upojonych biegiem.

Robili to zawsze w ten sam sposób. Zarzucali do wody wielką sieć o dwóch skrzydłach, z sakiem pośrodku, i ciągnęli ją pod prąd po dwóch z każdej strony rzeki. Jeden, idąc przodem, uderzeniami kija ploszył ryby, znajdujące się przy brzegu, aby nie wyslizgiwały się po bokach. Kiedy czuli, że matnia jest ciężka, wyciągali sieć i wrzucali ryby do napełnionego wodą cebrzyka.

Dziś, gdy znaleźli się nad rzeką, posłyszeli dzwony kościoła, które oznajmiały samo południe.

– Przeczekajmy, aż przebrzmi i przeminie godzina święta! – któryś odezwał się.

Przeżegnali się i w milczeniu utkwili wzrok w wieży kościoła. Nagle ujrzeni, jak coś wielkiego, jakby jakiś srebrzysty olbrzym, ukazał się na chwilę ich oczom, błysnął w powietrzu i znikł, rozplywając się w nurtach rzeczki.

Poczułi, że rzeczy wkoło pod wpływem niepojętej siły – drzewa nad brzegiem, pola z wzgórzami, rzeczka, nawet chmurki jasne i lekkie niczym pióra łabędzi, znaczące przyjazną dla zbioru pogodę – na tę chwilę się zatrzymały i przemieniły. A wszystko, jakby okiem słońca na niebie, uważnie im się zaczęło przyglądać. Ulotne chmurki stały się niebiańskimi aniołkami. Zaszumiały lekko pola żniwnym szeptem, ciężkim od pełnych nowego życia kłosów.

Po drugiej stronie rzeki pole było już skoszone i pokrywały je równe rzędy ustawionych w jasnozłote sztygi snopów zżętego żyta.

Nagle, w czasie gdy jeszcze nadal grzmiały dzwony, z środka jednego z mendli zboża wyszło kilkuletnie dziecko o jasnych, równo przystrzyżonych, rozpuszczonych długich włosach. Ubrane było w białą długą do kostek koszulę i głośno płakało. Jego płacz rozlewał się daleko dookoła jakimś wielkim smutkiem. Widzieli jego oczy, wielkie, błyszczące w słońcu jak perły. Pełne były wyrazu jakiegoś niewypowiedzianego żalu. Łzy, niczym mnożące się klejnoty, spadając z oczu, sypały się na ściernisko.

Dziecko, olbrzymiejąc na ich oczach, zaczęło iść w kierunku rzeki, roniąc za sobą istne żywe gwiazdozbiory błyszczących w słońcu i wsiąkających szybko w wysuszoną ziemię łez, przypominających

spadające gwiazdy. Chłopcy przyglądając się tej scenie, najpierw bardzo się przestraszyli, ale potem także poczuli, że może powinni się dzieckiem jak najszybciej zaopiekować i czymś ukoić jego lzy.

Zbliżywszy się do wody, dziecko popatrzyło w niebo, westchnęło, potem jeszcze raz, jeszcze głośniejsze, donośniej westchnęło. W końcu zapłakało, i stając się nieoczekiwanie, tylko na niewielką chwilę, jakby jakimś niepojętym olbrzymem, skoczyło do wody i znikło w nurtach rzeki. Plusk wody był donośny jak wystrzał z działa, czy może raczej jak uderzenie grzmotu. Echo wybuchu obejmowało wszystko wkoło swą grozą. Patrzyli, jak jego podmuch łamał krzewy i drzewa nad rzeką, nawet spore olchy i brzozy.

Konie spłoszyły się i w panice poniosły w pole. Geno zdołał w końcu pochwycić je za uzdy i na chwilę uspokoić. Wskoczywszy na wóz, po jakimś czasie nieco uspokoił konie i popędził w panice do domu. Gdy jednak zbliżyli się do zakrętu, na którym stała wiekowa akacja (czy bardziej poprawnie, grochodrzew) konie stanęły i nie chciały iść, nawet poganiane batem i krzykami. W tym drzewie, najstarszym w okolicy, podobno od setek lat mieszkały duchy. Zwierzęta ruszyły dopiero wtedy, gdy jeden z chłopców podszedł z przodu, przeżegnał się i batem zrobił przed końmi znak krzyża. Wyrwały z miejsca tak szybko, że nie wszyscy zdołali ponownie wsiąść na wóz i musieli biec aż na samo podwórze, gdzie dopiero się zatrzymały.

Konie jeszcze przez wiele dni były niespokojne, a zwłaszcza trzeba było unikać jazdy z nimi tą samą drogą w kierunku rzeki Bachy. Chłopcy stali się na jakiś czas jacyś zamyśleni i milczący i nie byli już tego dnia, ani przez wiele dni następnych, zdolni do łapania ryb, ani do czegokolwiek innego.

Wiele razy, na różne sposoby, próbowali sobie wytłumaczyć i zrozumieć coś z tego, co widzieli i czuli. Lecz nikt im nie wierzył, gdy opowiadali to zdarzenie.

– Oni wszyscy powariowali! – taka rozniosła się opinia.

– Nie chce wam się uczyć ani pomagać w polu, to wymyślicie niestworzone bzdury!

– Uczcie się! Wiedzy nie trzeba nosić na plecach, a przydaje się przez całe życie – usłyszeli.

Chłopcy w końcu uznali, że samym prostym ludzkim rozumem, czy nawet uzbrojonym w naukowe mądrości, nie są w stanie do końca swojego życia zrozumieć tego, co się wtedy stało.

I z upływem lat, będą coraz bardziej zapominali o tamtym zdarzeniu, a także o sobie nawzajem i o swojej pierwszej przyjaźni.

I przez ponad pół wieku, w odstępach kilku lub kilkunastu lat, niektórzy z nich, jeden po drugim, będą odchodzili ze świata. Najpierw, o wiele za wcześnie, odszedł Żozo. Ale on pierwszy nieszczęśliwie się zakochał.

Farmazonki

Wracając do domu pociągiem z liceum w Chełmży, po około godzinie jazdy, na budynku stacji widział napis – PŁUŹNICA. Był to znak, że na następnej stacji trzeba wysiadać.

Od Płuźnicy popularna bana zazwyczaj rwała przed siebie, niczym spłoszony czymś rumak. Musiała bowiem na tym niewielkim odcinku pokonać magiczne tereny dawnych farmazonek, na których, jak opowiadała stara Weronka, od niepamiętnych czasów nocami rozgrywały się, niekiedy zabawne, czasem pouczające, ale najczęściej jednak straszne sceny, zwłaszcza w porze północy. Niektóre z tych podniebnych przedstawień stanowiły jakby przedłużenie – albo raczej przeniesienie w inny wymiar – codziennych dziejów ich bliższego i dalszego świata.

Gdy mieszkańcy okolicznych miejscowości pogrążeni byli w głębokim śnie, na ziemi i tuż nad ziemią pojawiały się przylatujące z księżyca i gwiazd oraz ich okolic, liczne pojazdy – bryczki i karety, pełne tajemniczych postaci; czasami byli to pojedynczy jeźdźcy na koniach albo innych zwierzętach. Jedne postaci z czasem ginęły, a na ich miejsce pojawiały się inne, jak w kalejdoskopie.

Na niebie zaczynało się jakieś wielkie przedstawienie. Czasami przyjmowało ono postać straszliwej bitwy, kiedy indziej barwnego, niezwykle bogatego w swej różnorodności i dramatyzmie pokazu. Niekiedy były to jakby konfrontacje różnych kultur, pochodzących z różnych czasów, od starożytnego Babilonu po współczesny Nowy Jork, od Indii, Chin, Japonii, Syberii, Islandii czy Grenlandii, po Australię czy Europę.

Obok ludzi występowały tam także zwierzęta. Nie tylko miejscowe, takie jak sarny, lisy, dzikie króliki, zające, bociany czy kuropatwy, ale pojawiały się także nocami lwy, lamparty, niedźwiedzie, wielkie węże i słonie, a także najrozmaitsze postaci dinozaurów. To właśnie w tych stronach, do których w wieku pięciu lat Olo przybył po wojnie z Wołynia, w których ukończył szkołę podstawową, istniało wtedy coś w rodzaju tajemniczego przejścia pomiędzy różnymi światami, w normalnych warunkach oddzielonymi od siebie jakby nieprzebytym murem.

Powietrze na tym rozległym i tajemniczym odludziu było gęste od oparów okolicznych bagien. Pagórki i wąwozy, porośnięte krzewami, wodorostami, bujnym zieleń i wysokimi chwastami, kryły liczne zwierzęta. Nad tymi polami, leżącymi pomiędzy Płużnicą a Wielądziem, pojawiały się także latające skrzydlate węże i wielkie owady, podobne do ważek. Rozlegały się echa prowadzonych rozmów i okrzyki w wielu językach świata, padały jakieś rozkazy, czasami zaklęcia, czy nawet straszne przekleństwa.

Tu, pomiędzy Płużnicą, a Wielądziem, istniał jakby kosmiczny mur oddzielający różne i niemieszające się ze sobą w normalnych warunkach światy. Powstawały pęknięcia czy przerwy, przez które postaci z różnych światów mogły się przenikać i spotykać. Było to w jego dzieciństwie jedyne miejsce, gdzie spotykali się żywi i umarli, bogowie i ludzie, duchy i bezduszne istoty, ziemia i inne planety oraz gwiazdy. Tu czas istniał inaczej, zjawiska, osoby i rzeczy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, mogły tu istnieć równocześnie, porozumiewać się, konfrontować ze sobą, zamieniać jedne w drugie, czyli przyjmować różne, dynamiczne postaci.

Świat legend i baśni mieszał się tutaj ze światem zgrzebnej, pełnej codziennego trudu codzienności.

W uszach Alfa tamte zapomniane z czasem nazwy brzmią jak czarodziejskie zaklęcia – Bielczyny, Skąpe, Dziemiony, Grzegorz, Bocięń, Zelgno, Orłowo, Płużnica, Wielądź, Mgowo. A są to miejscowości na trasie jego dawnych przejazdów nieśpieszną, ale niezawodną ciuchcią z Chełmży do Mełna.

Gdy zabrakło wysłużonej bany, umęczonej i powolnej zwłaszcza podczas jesiennych przewozów buraków cukrowych, nie ma już możliwości dokładnego powtórzenia tamtej barwnej i magicznej w jego wspomnieniach trasy.

Alf wspominając minione czasy, chwilami myśli:

– Ludzie dzisiejsi nie mogą wziąć udziału w tamtych podniebnych seansach, gdyż wieczorami siedzą w swoich domach przed szklanymi okienkami telewizorów, a nocami boją się spotkania z czarodziejską kulą nieba, rozpostartą nad nimi. Dlatego bardzo się zmienili, stali się twardzi i coraz trudniej im wejść do bajki.

Weronika

– Kiedy wreszcie, babciu, umrzesz? – coraz częściej do głowy Weroniki wracało to pytanie, zadane przez prawnuczkę trzydzieści lat temu, gdy miała siedemdziesiąt lat.

– Kiedy będę wreszcie sama tego chciała! – odrzekła wtedy ze złością i tamto pytanie oraz jej odpowiedź nabrały z czasem charakteru anegdoty i obiegiły wkrótce całą okolicę. Przez wiele lat to pytanie i odpowiedź były przytaczane podczas spotkań organizowanych w gronie mieszkańców Wielkądza, Nowej Wsi Królewskiej, Płużnicy oraz ich krewnych z dalszej i bliższej rodziny, budząc zrozumiałe rozbawienie.

Wraz z upływem następnych lat, gdy Weronika coraz bardziej przypominała wypalone ognisko, spędzała wiele czasu w zamyśleniu, z tym pytaniem wiercącym jakby coraz większą czarną dziurę w jej głowie.

Nie pamiętała już dokładnie, od kiedy została sama w wielkim domu, stojącym na skraju wsi, drugim po domu Tabora, w którym była po sąsiedzku najpierw gospoda „U Przytuły” z najlepszą w okolicy siwuchą. Tu niepodzielnie od pięćdziesięciu niemal lat, z gronem swoich zmieniających się asystentów różnego pokroju i maści, panował narowisty i nieobliczalny wychowanek państwowych kolei, Kazik Przybysz. Kiedy Przytuła zmarł i gospoda podupadła, urządzano tam po kolei sklep, świetlicę oraz klub prasy i książki. W końcu została ledwo już trzymająca się zapomniana niemal rudera, przypominająca rozbity o skały statek, nad której losem czasami debatowano, nic zgoła nie czyniąc dla jej ratowania.

Przed wielu laty, dom w którym Weronika mieszkała od samego urodzenia, kipiał życiem, podobnie jak na początku wieku, gdy umierała jej prababka Wiktorina.

Życie może by i nie uszło jeszcze do dzisiaj i z mego domu – czasem z goryczą myślała – gdyby uszło wcześniej ze mnie, gdybym ja, Weronika, umarła zgodnie z przewidywaniami czy oczekiwaniami rodziny.

Z goryczą przypominała sobie, jak jej prawnuczka Patrycja rosnąc, coraz częściej i z czasem natarczywiej, powtarzała:

– Kiedy, babciu, umrzesz, ja dostanę twój pokoik na górze.

Los sprawił, że Patrycja nie doczekała się wymarzonego pokoiku, a Weronika dopiero naprawdę i nieodwołalnie w nim zamieszkała, kiedy w domu została sama i próbowała z początku go opanować, z całą determinacją swojej samotności.

Od jakiegoś czasu przestała wychodzić na dwór, wsłuchując się w coraz bardziej nieznośną ciszę parteru, środkiem którego biegł korytarz na przestrzał przez cały budynek oraz nieużywana kuchnia i trzy puste teraz pokoje. Nie mogąc w końcu poradzić sobie sama z tyloma pomieszczeniami, w których bywało kiedyś nawet ciasno, gdy równocześnie wychowywało się naraz kilka pokoleń, poddała się wreszcie i na stałe opuściła cały parter, zostając w pokoiku na poddaszu.

Uczyniła to, gdy zmarła ostatnia we wsi z jej rówieśniczek i koleżanek i przestał ją ktokolwiek odwiedzać, z kim mogłaby przesiadywać na wielogodzinnych pogawędkach. Na parterze zrobiło się teraz więcej miejsca na książki gromadzone przez nią od wielu lat. Nieraz już w swoim bogatym w tragiczne niespodzianki i zakręty życiu miała sposobność przekonać się, że ze wszystkich przyjaciół książki są najwierniejsze, jakkolwiek także, jak ludzie, nie są nieśmiertelne i też się zużywają, chorują, a nawet potrafią mieć swoje kaprysy.

Po śmierci Zygucha przesiadywała przez pewien czas całymi dniami sama wśród kilku tysięcy tomów swoich książek, które wreszcie, gdy została sama w domu, mogły swobodnie rozgościć się po całym parterze, zamiast gnieździć się po różnych kątach i jeszcze słyszeć utyskiwania rodziny na ich rozpanoszenie w domu.

Na próżno czekała przez jakiś czas na nowych czytelników. Jakby przez jakieś wynaturzenie natury, gdy dom był pełen jej rodziny, której przeszkadzała jej bibliotekarska pasja, nie było dnia, aby nie przychodzili do niej ludzie ze wsi, by pożyczyć coś z jej znanego na okolicę, prywatnego księgozbioru. Najczęściej byli to jej rówieśnicy i rówieśniczki, ale od nich zarażali się pasją czytelniczą inni. Powoli jednak, w miarę jak przybywało jej lat, ubywało rówieśników, a wraz z nimi także ubywało czytelników książek.

Czy kiedy ludzie przestali czytać, ich polskość zaczęła być za-

grożona? – myślała, gdy ludzie przestali przychodzić do niej porozmawiać i pożyczać książki i zwrócili się ku wszechobecnej, kosmopolitycznej telewizji.

Gdy dwieście lat temu utraciliśmy ojczyznę, właśnie czytanie książek w znacznym stopniu pozwoliło uratować Polskość.

Kompletowała przez całe życie bibliotekę, o której można by rzec, że jest biblioteką, która uratowała życie narodu – Kroniki Galla Anonima, Wincentego Kadłubka, dzieła Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Seweryna Goszczyńskiego, Bolesława Prusa, Henryka Sienkiewicza, Chryzostoma Paska, Elizy Orzeszkowej, Stefana Żeromskiego, kazania Piotra Skargi i wiele innych.

Patrzyła na książki uruchamiające w niej i innych ludziach wielkie emocje i przeżycia, nadające kiedyś sens życiu, teraz zakurzone i walające się po kątach, jak niepotrzebne graty, świadoma jakiejś wielkiej klęski. Zawierające niemal wieczne prawdy i wciąż żywe inspiracje, książki, żyjące wtedy i dające życie, leżały teraz wszędzie, jak niepotrzebne graty do wyrzucenia.

Wszystkiemu winien wielki pieniądz – myślała. Niech więc wielki pieniądz szcześnie, a odzyskamy utracony, zda się bezpowrotnie, raj.

Teraz, kiedy odzyskaliśmy ojczyznę, po raz drugi nie tak przecie dawno śmiertelnie zagrożoną, ludzie przestali czytać, interesować się jej dziejami. Czy te wykwitające dziś wszędzie shopy, puby i inne fast foody zagrażają narodowi polskiemu? Może to są tylko powierzchowne pawie pióra, stroje, stroiki, bo wiadomo, że Polak lubi się stroić w egzotykę, gdyż lubi przedstawienia, ale nią nigdy naprawdę nie przesiąka ze szkodą dla swojej tożsamości. Ta polskość przez tysiąc lat, wraz z językiem i duchem ukochanych od tysiąca lat miejsc, wniknęła w nas tak bardzo, że nie ma siły na jej wymazanie przez jakieś obce anglosaskie, ruskie, germańskie czy francuskie bajery.

Myślała z troską o ojczyźnie Polaków. Ale czy w ogóle człowiek będzie coś wart, jeśli przestanie czytać? Uczenie się świata bez książek – to droga na skróty. Jakże niebezpieczna i złudna może to być droga.

Wyspa Wielkanocna

Któregoś dnia Wielkanocy wydało mu się, że wreszcie podczas swoich wędrówek po otaczającej ich wielki nowy dom i podwórze okolicy zbliżył się do widocznej z wieży kościelnej na horyzoncie góry. Gdy podchodząc coraz bliżej zaczął rozglądać się wkoło, okazało się, że w rozpadlinie skalnej czeka tam znów na niego, jak to nieraz dawniej bywało na Wołyniu, dziadek Ado.

Jakże to, czyżby zmartwychwstał? – pomyślał Olo. Wiedział, że jakkolwiek nazwisko i imię dziadka wypisane jest na nagrobku przykościelnego cmentarza, to jednak tak naprawdę dziadek został tysiąc kilometrów od Pomorza, w swojej na zawsze Kamiennej Górze.

– Mówili, dziadku, że zginąłeś, kiedy banda ryzunów napadła na naszą wieś – rzekł zdziwiony.

– Niech sobie ludzie mówią na mój temat, co chcą, a ty, Olo, widzisz, jak jest naprawdę – odpowiedział dziadek. – Ja nie zginąłem, ja tu zostałem na znak. Nie ma już naszej Kamiennej Góry od czasu, gdy została spalona i na miejscu naszych domów porosły brzoźowe i sosnowe zagajniki, a teraz już lasy. Inne jest już Dubno, inny Krzemieniec. Kamienna Góra zabita. Dubno i Krzemieniec okaleczone i chore, odkąd wraz z nami odleciał stąd biały orzeł i z nim razem nasze słowo. Kto wie, czy dzisiaj ktoś z nas rozpoznałby miejsce, gdzie się narodził i gdzie narodzili się jego rodzice i dziadkowie. Wszystko wkoło dzień po dniu jest zasypywane piaskiem czasu i porasta coraz mocniej gąszczem krzewów i drzew zapomnienia. Tylko ja jeden czekam, ale mogę jedynie być jak znak, jako przypomnienie tego co było. Było, ale dla mnie nadal jest, trwa wciąż, chociaż gdy was żywych tu już nie ma, trwa inaczej. Jedni z naszych zabici, pomarli. Inni, w ucieczce przed śmiercią, w czasach gdy łatwiej tu było o śmierć niż o życie, rozbiegli się i rozjechali po całym świecie. Gdzieś podobno w tych stronach został, gdy inni uciekali i nie wiadomo, gdzie teraz błąka się, tylko jeden człowiek z naszej rodziny, ale on już nie jest nasz, jemu już przed naszym pogromem było bliżej do tamtych. Było mu na imię Piotr. Może nawet już swoje imię zmienił. Nawet

jak przeżył tutaj, to już go do tej pory odmienili, gdyż inaczej by nie przeżył. A wszystkiemu winien nasz fałszywy przyjaciel, Kazimir. To Kazimir go omotał zdradliwymi obietnicami tak bardzo, że Piotr odwrócił się od nas, chociaż go ostrzegaliśmy.

Dobrze, Olo, że chociaż ty jeden z żywych tutaj wreszcie dotarłeś. Wszyscy chcieli jak najszybciej zapomnieć. Ty jeden mi zostałeś, tylko ty, jak widzę, jesteś teraz ze mną. Więc słuchaj mnie czasami i ucz się.

Chłopiec nie tyle pomyślał, co raczej poczuł, że znalazł nowe miejsce na świecie, w którym dziadek Ado został zamknięty, aby jeszcze raz rozpocząć wędrówkę w nieskończonym labiryncie swojej własnej góry, nadanej mu przez cara Rosji za zasługi w wojnie z Japończykami. Na jej zboczach posadził na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku las i sad, a gdy szczęśliwie wrócił z wojny, wierzchołek jej zwieńczył drewnianą kaplicą. Od tej góry dziadka miejscowość na Wołyniu, zanim doszczętnie nie spłonęły jej drewniane domy, nazywała się Kamienna Góra.

Odkąd został członkiem Piątki wybierającej się w wielką podróż, Olo polubił chwile, gdy mógł znaleźć się pod samym sklepieniem kościelnej wieży, w labiryncie której został pewnego dnia wtajemniczony w plany wyprawy i zaprzysiężony. Stąd roztaczały się nieoczekiwane widoki na świat, który z wysokości wieży wydawał się jakże inny od znanego świata przyziemnego. Dlatego nieraz, gdy miał sposobność, udawał się w górę, aby pogрузić się w przestrzeni, z której bliżej było do pływających w zagadkowym błękitnie chmur. Trzeba było wznieść się skrzypiącymi nieco, drewnianymi schodami na wysokość kościelnego chóru. Stąd można było rzucić okiem na świętych, wciąż nad czymś zamyślonych, może nawet uśpionych zagadkowym milczeniem wielkiej skrzyni organów. Potem rozbudzonych podczas mszy i oniemiałych z zachwytu nad wypływającymi i zalewającymi cały kościół melodiami tysięcy piszczałek. Dlatego jakby na zawsze już niezdolnych do wyjścia na świat poza ołtarz główny, nawę i boczne kapliczki.

Tu tutaj, przed wejściem na chór, zwisały z drewnianego sufitu dwa grube sznury, którymi pociągając mocno i cierpliwie, aż do

ich przebudzenia, można było ożywić obydwie dzwony. Ich donośne i wiele mówiące głosy docierały do każdego zakątka parafii. Była w nich radość zapowiadanych i obchodzonych uroczystości świąt, było przypomnienie człowiekowi jego ziemskich powinności, nie tylko powitanie i zakończenie z Bogiem każdego dnia, była zachęta do życia godnego. Czasami w głosach dzwonów można też było usłyszeć skargi i ostrzeżenia.

Raz w roku, z rozpaczą nad śmiercią, w okolicach tuż przed Świętem Wielkanocnym, dzwony traciły głos i przeraźliwie milczały. Za to nigdy w ciągu całego roku ich głos nie miał w sobie tyle świeżej radości, jak w czasie objawienia, że Chrystus zmartwychwstał. Dzwony zdawały się w czasie rezurekcji zachłystywać się szczęściem tej chwili, jak w czasie upału człowiek zachłystuje się ożywiającym łykiem zimnej wody. Tę ich rozgłaszaną wkoło radosną nowinę, właśnie tego dnia, chłonęli też najmocniej i najpożądliwiej ludzie wiedzeni wielką siłą wiary. Sprawiała ona, że ich drogi i dróżki prowadzące z różnych stron i najbardziej odległych, a czasem nawet zapomnianych miejsc w parafii, po gwiaździstym jakby marszu, przecinały się w jednym szczególnym, jedynym dla nich wszystkich miejscu – w kościele, gdzie mogli poczuć jak wielką i ważną stanowią wspólnotę.

Pojawiali się wtedy niemal wszyscy, a niektórzy tylko w ten jeden dzień w roku pojawiając się w kościele, jakby chcieli innym ludziom i najmocniej w tym dniu obecnemu wśród nich Bogu przypomnieć o swoim istnieniu. Tłumnie czekali w chłodnym i świeżym powietrzu poranka na spełnienie się największego z cudów. Po wysłuchaniu dobrej nowiny o Zmartwychwstaniu wracali do domów, aby przygotowane na wieczną odnowę ich ciała mogły spożyć rytualny posiłek – poświęcone jajka kurze, którymi dzieląc się przy stole, pod magicznym spojrzeniem siedzących pośrodku talerza z kolorowymi jajami, białego baranka z cukru trzymającego chorągiewkę triumfu i żółtego kurczaczka nadziei z puchu, rodzina z nowymi siłami wchodziła w odrodzone wiosną życie.

Każdy ze sznurów w pewnej chwili siłą mocno rozhuśtanego, nie tylko wielkanocną radością, dzwonu potrafił porwać wysoko w górę niejednego, kto się na nim uwiesił, ściskając go mocno

rękoma, niczym ugiętą do ziemi gałąź drzewa. Było to tak podniecające, że trudno było się oprzeć pokusie, aby dać się ponieść przez dzwon aż pod samo niebo sklepienia, zasłaniającego bijące właśnie, rozedrgane głębokimi tonami jego serce. Przez moment wtedy zdawało się, jakby dwa serca – serce unoszonego człowieka i serce dzwonu – stanowiły jedno.

Potem kamiennymi schodami wchodziło się wyżej, na wysokość szczytu kościelnego dachu, widocznego przez wąskie okienka, oczyma setek dachówek wpatzonego w górę i w dół. Tutaj, w bliskim zaciszu i cieniu domu bożego, tylko nieliczni, znani mu osobiście albo wyłącznie ze słyszenia, najbardziej poważani gospodarze, nieraz skłóceni między sobą z powodu sporów i starań o jak największy doczesny majątek, znajdowali wreszcie ostateczne rozwiązanie wszystkich swoich, tak nieraz trudnych, ziemskich spraw. Każda niedziela i święto dawały okazję żyjącym na wspomnienie ich nazwisk i imion wyrytych złoconymi literami na nagrobkach unoszących w górę krzyże, które przypominały ręce uniesione na znak czegoś, co się już nie odstanie. Daty na nagrobkach mówiące o początku i końcu stanowiły jakby nawiasy poświęconych zmarłym zaszyfrowanych zdań, zapisanych w nieodgadnionej księdze wieczności.

Dzięki temu, że po śmierci znaleźli się w kręgu procesji odbywanych przez wiernych w czasie corocznej rezurekcji i święta Wszystkich Świętych wokół kościoła, a także poprzez cotygodniowe nabożeństwa i spotkania z żywymi, zmarli nadal jakby brali udział w toczącym się wciąż życiu. Ponadto nie można było przecieź wykluczyć, że przez bliską i wytrwałą, stałą obecność najbliższej ołtarzy, ci, co już odeszli, mogli może coś wyjednać w zaświatach dla swoich jeszcze żyjących krewnych i przyjaciół. Pospółstwo przenosiło swoje spory i potyczki na cmentarz położony za wsią, skąd mniej rzucając się w oczy, ludzie, jak ich sprawy i sprawki, szybciej przechodziły w zapomnienie i tylko raz w roku włączały się w życie parafii obecnej liczniej tutaj tylko w okresie obrzędów z okazji dni zmarłych.

Wspinając się wyżej wąskimi schodami z cegły, stromo wijącymi się wokół muru wieży, wchodziło się na następną kondygnację,

objętą w posiadanie milczeniem dwóch olbrzymich dzwonów, przytrzymywanych za wielkie ucha rzemiennymi postronkami i zwisających u sufitu na grubych poprzeczkach z dębowych belek. Tutaj, poprzez nieuszczelnione otwory w murze, aby jak najdalej niósł się głos niebios, często czuło się docierające chłodne lub ciepłe wiatry i prądy powietrza idące od morza, przywiane pod prąd Bachy ponad nieznacznie falującymi w oddali grzbietami lasów i wzgórz. Gdyby ktoś z dołu zaczął teraz pociągać za sznury dzwonów, należałoby czym prędzej uciekać w dół, aby nie dać się ogłuszyć przez dobiegające z bliska ich potężne dźwięki. Brane do ręki, głaskane, poklepywane dzwony pomrukiwały jak wielkie koty. Na wyższe, rozpościerające się ponad dzwonami kondygnacje, wchodziło się z rosnącym podnieceniem po chybotających się coraz bardziej, im było bliżej celu, drabinach, aż pod samo sklepienie wieży, skąd można się było jeszcze wychylić, a nawet wyjść poza mury, aż na strzelisty dach, przeciskając się przez otwierany na zewnątrz, szklany lufcik.

Olo w myślach zamieniał się wtedy w łagodnego, szerokoskrzydłego boćka i prześlizgiwał się ponad polami, drogami, wąwozami, przelatywał nad dachami budynków, nad lasem i jeziorem. Najczęściej zatrzymywał się na zboczu ledwo widocznej na horyzoncie góry. Góra była tak daleko, że żaden z jego kolegów z piątki, nawet przy najlepszej widoczności, nigdy jej nie widział. Tylko Olo dostrzegał ją zawsze, kiedy wspiął się na wieżę. Widział ją wbrew wszystkim, a jej obecność i odległość do niej wzbudzała w nim zarówno zaciekawienie i podniecenie, jak też i strach. O tę górę nieraz posprzeczał się z kolegami. W końcu, pomimo tego że jej zagadkowa obecność niepokoiła go, przy każdej nadarzającej się okazji, pokonywał coraz większe przestrzenie i zapuszczał się coraz dalej od domu w nadziei, że kiedyś dojdzie aż w jej pobliże.